

Mimo że minęła dopiero dziesiąta, żar lał się bezlitośnie z nieba. Przywodził na myśl maszynownię ogromnego parowca z palaczami o lśniących drobinkami złota nagich torsach, którzy bez wytchnienia dokładają węgiel do kotłów. Przedzierałam się przez zarośnięty skwerek jak wojownik z plemienia malajskich Semangów. Marzyłam, żeby zedrzeć z siebie T-shirta i spodenki, pozostając przy skąpej przepasce biodrowej. Przesmyk biegł pomiędzy rzędami dostojnych dopieszczonych w każdym detalu poniemieckich willi, dumnie majaczących na tle lazuruwej kopuły nieba. Schludne domy jeszcze bardziej potęgowały chaos panujący wokół mnie. Wybujałe rośliny desperacko wyciągały długie ramiona ku wąskiej jak wstążka ścieżce, chwytaly zachłannie za łydki, smagały i dotkliwie kąsały. Gdzieś tam wśród płataniny łądyg, liści i polnych kwiatów wylaniał się zapomniany plac zabaw z przewróconą zjeżdżalnią, odrapanymi szczerbatymi drabinkami i karuzelą straszącą pustymi oczodołami malowanych koników. Niskie drzewka jarzębiny walczyły o uwagę ze słonecznikami, które już osiągnęły karykaturalną wysokość, i nadal pięły się w górę. Chwałyły się żółtymi licami, jakby chciały wygrać konkurs piękności.

Moje kroki przypominały pokraczny taniec kogoś, kto próbuje poruszać się z gracją po lesie tropikalnym i jednocześnie nie wypuścić z rąk słonia. Co pewien czas zatrzymywałam się i stawiałam na ziemi kolosalnych rozmiarów kontener wraz z jego zawartością – ważącą ponad siedem kilo rudą górą futra, z przebiegłymi żółtymi ślepiami łypiącymi złowieszczą zza białego okratowania. Oczom kocura zdarzało się przybierać ciepły bursztynowy kolor miodu i odbijać wpadające do nich światło. Jednak to nie była jedna z tych okazji. Masowałam pulsujące od bólu nadgarstki i podejmowałam dalszą wędrówkę. Wcielałam się w zdobywcę nieodkrytego lądu stawiającego czoła okrutnym przeciwnościom. Fred obrał sobie za punkt kociego honoru utrudnienie mi dotarcia do celu. Mniej więcej w połowie drogi jego tłusty wylewający się na boki zadek wylądował na drzwiczkach pojemnika. Napierał z całej siły, jakby chciał wyważyć wrota plastikowego więzienia i uciec w siną dal.

Przytulny gabinet weterynaryjny mieścił się zaledwie kilkaset metrów stąd a wydawało się, że dotarcie do niego wymaga wyruszenia w podróż na inny kontynent. Zmełłam przekleństwo między zębami. Czułam, że napięte do granic możliwości mięśnie za chwilę rozprują skórę i wyskoczą na zewnątrz niczym sprężyny w zepsutej zabawce. Spieniona fala gorzkiej frustracji wzbierała we mnie z coraz większą mocą – rozpaczliwie szukała ujścia. Cóż, gdybym pisała płomienne romanse i serwowała na kolację śmiertelne dawki nierealnej lukrowanej miłości, pewnie byłoby mnie stać chociaż na kaszlące, rozpadające się na kawałki auto. Nie czułabym na gardle szorstkiego sznura zobowiązań. Nie skradałby się za mną lęk. Często stawał się moim

towarzyszem, kiedy wyjmowałam rachunki ze skrzynki pocztowej. Skrzynki noszącej rdzawe ślady upływu czasu i niewątpliwie wymagającej wymiany. Nigdy nie wpadłam w długi, ale dałabym wiele za wydostanie się z gorsetu, który odbierał mi dech w piersi. Byłam samotną księżniczką. Zamieszkiwałam pałac odziedziczony po przodkach i nie wiedzieć czemu nie mogłam się go pozbyć. Domy w okolicy sprzedawały się niczym francuskie rogaliki, a moją nieco podupadającą i pokrytą zmarszczkami posiadłość, otulała chyba jakaś mgiełka niewidzialności.

Dawno temu podjęłam decyzję o nieuprawianiu pisarskiej prostytucji na rzecz karmienia czytelnika prawdziwą wartością. Jest ona niestety jak zdrowa żywność – ludzie uwielbiają o niej rozprawiać, ale ostatecznie wybierają klasyczny fast food. Łechtający podniebienie i nie wymagający żadnej finezji.

Przystanęłam ponownie, żeby przynieść chwilowe ukojenie omdlałym barkom. Przesunęłam opuszkami palców po wilgotnym czole. Na ułamek sekundy zanurzyłam się w błocie utyskiwania i użalania się nad straszliwym losem. Jedną dłoń wciąż trzymałam wyciągniętą w górę – gotowa, żeby uchwycić się wystającego konaru i wydostać na powierzchnię. Staralam się ufać, że Wszechmocny się o mnie zatroszczy. Jednak moja wiara była niewątpliwie poddawana testowi. Ostatnio coraz częściej. Chciałam, żeby po przejściu próby okazała się cenna niczym złoto. Temperatura i ciśnienie nieubłaganie rosły. Zupełnie jak w maszynowni parowca. Skwar lejący się z nieba i buchające płomienie okoliczności czyniły ten dzień po prostu niemożliwym.

– To wszystko twoja wina, Fred! – parsknęłam ze złością, chociaż doskonale wiedziałam, że gwałtowna erupcja wulkanu sięga korzeniami rozżalenia znacznie głębiej niż trzy dni wstecz. Wtedy mój pręgowany rudzielec postanowił złożyć nieoczekiwaną wizytę sąsiadowi. Studiował każdy zakamarek jego przepastnego domu, badał intrygujące eksponaty i przeglądał się w gigantycznym lustrze niczym narcyz spragniony nieustannego poklasku. W końcu poślizgnął się, spadł z wielkiej szafy i nadział się na figurkę egzotycznego tygrysa (o ironio!), którego grzbiet zdobiły wystające kolce. Taka specyficzna afrykańska sztuka. Dobrze znane przysłowie na temat ciekawości wiodącej do piekła posiada zabawną wersję w języku wyspiarzy. Ciekawość zabiła kota – idealny obraz złożonej osobowości czworonoga. Może tym razem nie zabiła, ale zostawiła kilka głębokich szpetnych dziur w jego połyskującym aksamitem futerku.

Wreszcie wyłoniłam się z przesmyku, skręciłam w lewo i po kilku chwilach wydających się wiecznością dotarłam do celu. Zerknęłam do kontenera i mogę przysiąc, że na pysku Freda malowała się skwaszona mina. Przekroczyłam próg poczekalni. Do moich uszu dotarł szmer jakby wielu wód, układający się w słowa w rodzaju : *Pisarka Marta już tu jest*. Zrzucając to na garb upału pozbawiającego zdrowych zmysłów, zupełnie zignorowałam osobliwe zjawisko. Niewielkie pomieszczenie pękało w szwach. Przyjemny powiew dochodzący z klimatyzatorów skutecznie zatrzymał wszystkich w środku – stłoczonych i wygniecionych niczym ubrania w zbyt ciasnej szafie. Wcisnęłam się pomiędzy staruszkę o przezroczyściej jak pergamin skórze, a kobietę, która lata świetności miała już za sobą, jednak na jej twarzy były wciąż wyraźnie widoczne ślady wyjątkowej urody. Jej lekko wystające policzki i głęboko osadzone błękitne oczy niczym szlachetne kamienie oprawione w wyraźną linię ciemnych rzęs, porażały nieprawdopodobną erudycją. Wyprostowana starożytna mędrzyni w sukience koloru pastelowego różu budziła podziw i zaufanie. Obok, na podobieństwo angielskiego lorda w efektownym fraku, siedział hart z miną wyrażającą bezbrzeżny spokój. Brązowe kafle zaanektował pitbull, przywodząc na myśl starodawnego martwego Lewiatana. Mimo że przesłam z Fredem tuż pod jego nosem, nieomal następując na zwiotczałe cielsko, nawet nie drgnął. Właściciel psa, młody mężczyzna z bicepsami, które groziły eksplozją, wpatrywał się małymi oczkami wesołego chochlika w ekran komórki. Zza kołnierza jego koszulki wychylał się rysunek jaskrawo niebieskiego łba kobry z rozłożonym kapturem. Wąż nieubłaganie piął się na szyję, żeby w końcu zwieńczyć policzek mężczyzny długim czerwonym jęzorem.

Ostrożnie się rozejrzałam. Wszyscy nagle zaginęli w wirtualnej rzeczywistości. Wszyscy, za wyjątkiem staruszki zaciskającej kurczowo palce na małym kontenerze. Jej kot syjamski co minutę wyśpiewywał arie operowe, działając wszystkim na nerwy. Nawet dziewczyna o urodzie azjatyckiej porcelanowej lalki, która wcześniej gapiała się na portrety zwierząt zawieszane na ścianie, teraz nie mogła oderwać wąskich czarnych kresek od smartfonu. Moją głowę zajęły wyniki badań odsłaniających przerażającą prawdę. Przeciętny użytkownik dotyka swojego telefonu dwa tysiące sześćset siedemnaście razy dziennie! Dotyk oczywiście prowadzi do kolejnego etapu gry wstępnej, po czym porywa otumanionych ludzi w objęcia pozornej rozkoszy. Nic dziwnego, że wszelki apetyt na dobrą literaturę jest skutecznie zagłuszany przez wyjałowioną papkę.

Chrząknęłam wymownie i posłałam karcący wzrok muskularnemu właścicielowi maszyny do zabijania zajmującej pół poczekalni. Stopa mężczyzny po raz kolejny przykleiła się do mojej. Ten tylko równie sugestywnie westchnął, uśmiechnął się przyjaźnie, co nieco zbiło mnie z

tropu. Następnie cofnął nogę pod plastikowe krzesło. Dlaczego ludzie nie potrafią znieść błogiej beczynności? Dlaczego nie pozwalają, żeby choć przez moment ich centrum sterowania nie zajmowało się działaniem, tylko swobodnie popłynęło meandrami myśli? Kto wie, może dryfując korytem rzeki tworzącym pętle, zakola i zakręty, złowiliby genialną ideę?

Drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem i ze środka wynurzyła się sroga postać weterynarza z dłońmi wyglądającymi jak liście egzotycznej gunnery. Biały fartuch niedbale narzucony na ramiona i gęsto usiany plamami krwi, budził skojarzenia raczej z rzeźnią niż miejscem, w którym zwierzęta mogą uzyskać pomoc. Ja jednak wiedziałam, że pod skorupą wrogości kryje się gołębie serce.

– Fred na kontrolne USG! – zatraził mężczyzna, mimo że na tak ciasnej powierzchni krzyk był zupełnie zbędny.

– Jak to? – wydusiłam z siebie drżącym głosem. – Ja dopiero przyszłam. Jest przecież kolejka – dorzuciłam ciszej. Ugięłam się pod ciężarem ołowianych spojrzeń pozostałych klientów.

– Czy jest tu jakiś inny Fred? – Weterynarz splótł ramiona na piersi i powiódł wzrokiem po poczekalni. Odpowiedziała mu cisza, więc powtórzył. – Fred na USG.

Po wykonaniu badania i wykluczeniu poważnych uszkodzeń w bebechach kocura, weterynarz nabrał do strzykawki mikstury o barwie soczystego kiwi. Fred wydał z siebie jęk zerwanej struny w gitarze i skulił się pokornie do rozmiaru kłęбка puszystej wełny. Nie potestował już wcale, kiedy igła przekłuła jego skórę.

– Proszę przyjść jutro o tej samej porze. Jak zwykle – obwieścił mężczyzna i zapakował rudzielca do kontenera.

Jak zwykle od trzech dni – skomentowałam w myślach, rejestrując na swoich ustach mimowolny grymas cierpienia. Wyjęłam portfel brzęczący pustką i sięgnęłam do skrzętnie schowanej przegródki z zapasami. Tajemne zasoby uruchamiałam w razie niespodziewanych katastrof, klęsk żywiołowych bądź nagłej niepohamowanej ochoty na sprawienie sobie jakiejś spontanicznej przyjemności. Na co dzień celowo wrzucałam skrytkę do morza zapomnienia i zaciskałam gorset.

Weterynarz wyrecytował kwotę – zdecydowanie niższą niż wczoraj. Przyjrzałam mu się badawczo, ale on trwał z kamienną twarzą niewzruszonego posągu. Stukał palcami po klawiaturze z prędkością wytrawnego pianisty. Wymamrotałam zdawkowe „dziękuję”, zapłaciłam i wytoczyłam się z gabinetu jak himalajski szarpa, którego życie chyli się ku

zmierzchowi. Po przekroczeniu progu stanęłam jak wryta. Miałam wrażenie, że moje stopy wpuściły w podłogę masywne korzenie. Przełknęłam gęstą ślinę i kilka razy uszczypnęłam się w udo. Każda osoba w poczekalni machała egzemplarzem mojej najnowszej powieści niczym chorągwią. Ze wszystkich stron błysnęły promienne uśmiechy przypominające flesze z aparatów fotoreporterów.

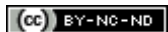
– Czy mogę panią prosić o autograf? – wyszczebiotała dziewczyna o urodzie Azjatki, po czym podeszła i wyciągnęła w moim kierunku bielutką jak śnieg dłoń ze spoczywającą w niej książką.

– Ale jak...? – wykrztusiłam.

– Jesteśmy fanami pani prozy – usłyszałam za sobą. Weterynarz niedbale opierał się o framugę. Przypomniał teraz psotnego chłopca.

– Ledwo udało nam się stworzyć te wszystkie pozory. Ciężko było nie dać nic po sobie poznać – zachichotała staruszka. – Niech pani pisze dalej. – Przesunęła po okładce palcami ubranymi w pierścionki. – Dla nas.

Na kilka minut odebrało mi mowę, następnie tafla moich piwnych oczu zeszkliła się łzami. Raptem, troski uwierające serce niczym kamień w bucie, przepadły w bulgoczących endorfinach. Mogę przysiąc, że poczułam jak Bóg się do mnie uśmiecha.



'Pisarka Marta już tu jest' by [M.M. Macko](#) is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe License](#).